

Wokół Kozich Grzbietów

Gdy dano mi znać, że w sobotę 6 października 2012 roku odbędzie się w schronisku Odrodzenie spotkanie, podczas którego przedyskutowane zostaną sprawy związane z turystyką w środkowej części Karkonoszy, pomyślałem, iż dobrze byłoby dotrzeć tam i posłuchać o co chodzi. Tym bardziej, że oprócz proponowanych, a znanych mi już tematów, miał wystąpić człowiek z drugiej strony gór i miał on opowiedzieć o tamtych terenach, o przyrodzie po tamtej stronie granicy. Warto zatem było poświęcić się i przejść tych kilka kilometrów.

Niestety w ostatnim momencie zadzwoniono do mnie, że dotarły już zamówione przeze mnie drzwi do domu. Nie miałem zatem wyboru, musiałem zrezygnować z udziału w tej jakże ciekawej dyskusji. Postanowiłem jednak dołączyć do grupy, która miała nazajutrz wyruszyć na zaplanowaną wycieczkę do Lučni boudy. Wstałem zatem w niedzielę o piątej rano i po dotarciu do Jagniątkowa wyruszyłem czarnym szlakiem pod górę. Było bardzo ciemno. Właściwie to panowała jeszcze noc. Dlatego idąc przyświecałem sobie latarką. Wkrótce zaczęło się przejaśniać. Pomyślałem, że to już świta. Jednak szum jaki od jakiegoś czasu słyszałem wzmógł się nagle. Okazało się, że nie jest to szum wiatru w drzewach tylko odgłosy coraz bardziej nasilającego się deszczu. Oczywiście gałęzie drzew chroniły mnie przed zbytnim zmoknięciem, jednak znowu zapanowały ciemności. Ścieżka robiła się coraz bardziej śliska. Trzeba było uważać stając na kamieniach by nie ześlizgnąć się z nich. Musiałem wyraźnie zwolnić kroku, chociaż i tak nie szedłem zbyt szybko. Droga do Petrovej boudy jest bowiem jedną z bardziej wymagających tras, jeśli chodzi o naszą stronę Karkonoszy. Wędrówka tędy potrafi zmęczyć nawet największych twardzieli. W pewnym momencie zaczęło robić się jakoś gęsto. Okazało się, iż z góry zaczęła opadać mgła. A więc koniec marzeń o pięknej pogodzie. Trudno, w górach tak bywa. Nic na to nie poradzimy. Trzeba się z tym pogodzić. Idę więc dalej. Niebawem mogę wyłączyć latarkę. Jest jeszcze szaro ale można już iść bez dodatkowego oświetlenia. Gdy wydaje mi się, że docieram już do miejsca pierwszego odpoczynku okazuje się to tylko złudzeniem. Muszę podejść jeszcze dobrych kilkaset metrów. Mimo, iż rozsądek nakazywał zatrzymać się na chwilę dochodzę, nie robiąc przerwy, do wiaty na Zawracani. Nareszcie mogę schronić się do środka i odpocząć. Jak to fajnie, że ktoś kazał postawić tu tę wiatę. Szkoda tylko, że umieszczone w niej ławeczki są takie niskie. Gdy odpocząłem ruszam dalej. Muszę przecież dotrzeć do schroniska zanim znajdujący się tam wyjdą na trasę. A nie wiem niestety, na którą godzinę zaplanowali oni wymarsz.

Deszcz pada cały czas. Muszę to jakoś przeżyć. Pora by pójść dalej. Trzeba się ruszać bo poczułem jak chłód idzie mi po plecach. Odrobina wysiłku pozwoli mi ponownie się rozgrzać. Jest już siódma. O! jak ciężko jest wstać z ławeczki. Faktycznie mogłaby być ona trochę wyższa. Zapinam kurtkę po samą szyję, łapki chowam do kieszeni i już jest lepiej. W czasie gdy odpoczywałem w wiacie niebo rozjaśniło się na całego. Nie tracąc czasu ruszam pod górę. Mijam tablicę z napisem Bażynowe Skały. Przekroczyłem już tysiąc metrów n.p.m. Uświadamiam sobie, że od Jagniątkowa pokonałem ponad trzysta metrów różnicy wysokości. Nieźle. Czeka mnie jednak jeszcze drugie tyle. Wcześniej słyszałem jakiś potężny ryk, pewnie jelenia. Teraz słyszę z boku jakieś dziwne odgłosy. Staję i wsłuchuję się w nie. Nagle mnie olśniło. Przecież to cietrzewie. To tutaj mają one swoje tereny.



Widok w stronę Przełęczy Karkonoskiej od Petrovej boudy. Foto: Krzysztof Tęcza

Dostrzegam już spalone schronisko. To Petrova bouda. Staję na asfalcie! Po lewej dostrzegam wyłaniające się z mgieł Odrodzenie. Aby dotrzeć do niego muszę najpierw zejść w dół i ponownie

wdrapać się pod górkę. Widzę tutaj znaczek informujący, że jest to droga przystosowana dla osób niepełnosprawnych. Faktycznie, po położonym tutaj asfaltowym chodniczku można bez problemu poruszać się na wózku inwalidzkim. Ponieważ na razie jestem jedynym turystą na szlaku przyśpieszam kroku. Mijam przełęcz o nazwie Dołek i już docieram na Przełęcz Karkonoskiej. Tutaj pełne zaskoczenie. Widzę przed schroniskiem, a właściwie hotelem (cztery gwiazdki) Špindlerova bouda, olbrzymi utwardzony plac parkingowy. Mało tego, znajduje się tu przystanek autobusowy. Można zatem dotrzeć do tego miejsca bez wysiłku. Szkoda tylko, że z naszej strony nie ma takich udogodnień.

Ale oto jestem już przy Odrodzeniu. W środku tłum, aby napić się czegoś ciepłego trzeba stanąć w kolejce. Po chwili dostrzegam znajomych i już wiem, że się nie spóźniłem. Okazało się nawet, że musimy poczekać jeszcze około godzinki tak by przybyli kolejni turyści. Mam zatem sporo czasu by dowiedzieć się o czym wczoraj dyskutowano. Okazuje się, iż wszyscy są zachwyceni spotkaniem z panem KRNApu, który opowiedział wiele ciekawych spraw dotyczących zarówno Karkonoszy, jak i sposobów ochrony występującej tu roślinności. Aż żałuję, że nie mogłem być.



Zaczął padać śnieg. Foto: Krzysztof Tęcza

Dochodzi jednak pora by wyruszyć na trasę. Dotarli już ostatni uczestnicy naszej wyprawy. Wychodzimy z budynku a tu niespodzianka. Sypie śnieg. I to jaki. Płatki są tak wielkie, że wkrótce jesteśmy prawie jak białe bałwanki. Jest jednak jeden plus takiej pogody. Ociepliło się. Wkrótce jednak śnieg miesza się z deszczem oraz zmrożonymi kulkami sypiącymi z nieba. Nie zraża nas to jednak. Idziemy żółtym szlakiem do schroniska U Bilého Labe. Wcześniej jednak dochodzimy do miejsca zwanego Čertův dul. Płyne tu potok o podobnej nazwie. Jest to Čertova strouha. To właśnie z tego miejsca można wyruszyć ścieżką dydaktyczną prowadzącą w głąb dolinki. Znajduje się tu mały drewniany domek, w którym w okresie letnim urzędują osoby oprowadzające tędy. Pokazują one ten ładny zakątek głównie dzieciom.

Wchodzimy do schroniska U Bilého Labe mając nadzieje na coś ciepłego. Na posiłek jest jeszcze za wcześnie jednak ciepły napój to jest to czego nam potrzeba. Prosimy kelnerkę by podała nam ciepłe piwo. Po chwili stawia ona przed nami kufle ale są one zimne. Okazuje się, że pani „przygrała z nami w kulki” – powiedziała, że oczywiście podają tu ciepłe piwo a tak naprawdę nie podają. Trudno, trochę zniechęceni takim obrotem sprawy płacimy i ruszamy dalej idąc wzdłuż Białej Łąby. Widzimy tutaj wiele leżących białych drzew. Ponieważ weszliśmy w I strefę ochronną drzewa,

które przewrócą się są korowane i tak pozostawiane. Nie wywozi ich się stąd. Wśród traw dostrzegamy kwitnące skrzypy. Mamy szczęście, jest to rzadki widok.



Kaskady na Białej Łąbie. Foto: Krzysztof Tęcza

Idziemy teraz szlakiem niebieskim. Docieramy do miejsca, w którym 02.09.1994 roku zeszła wielka lawina ziemna. Widać, że nikt będący w tym rejonie nie miałby żadnych szans na przeżycie takiego doświadczenia. Na potoku wciąż spotykamy kaskady. Powstały one dzięki wybudowaniu kamiennych murków w poprzek strumienia. Oczywiście nie wszystkie. Część z nich jest naturalna.



We mgle dostrzegamy schronisko Łuční bouda. Foto: Krzysztof Tęcza

Droga wiedzie nas zboczem nazywanym Kozi bety. Jest to chyba najbardziej ekstremalne przejście w tej części Karkonoszy. Z lewej widzimy stromiznę opadającą do strumienia a z prawej prawie pionową ścianę sięgającą po same niebo. Co jakiś czas spotykamy pięknie poukładane kamienie wyglądające

jak półki. Nad nami przewalają się schodzące z grzbietu obłoki. Raz mgła zasłania zbocze, raz widzimy je bardzo dobrze. Nie poprawia to jednak naszych nastrojów. Cała droga została wyłożona skałami, jednak dzisiaj są one śliskie co zmusza nas do ostrożności. Prowadzący, by nas pocieszyć, stwierdził radośnie, że do schroniska mamy już niedaleko. Okazało się to jednak tylko żartem. Bo schroniska jak nie było widać tak nie widać go dalej. Za to idąc pod górę dróżką prowadzącą tak jakby obchodziła ona zbocze dookoła wciąż widzieliśmy tylko, że ginie ona za zakrętem. Wszystko było przysypane świeżym śniegiem. Dobrze, że deszcz przestała już padać. Mgła jednak była wciąż duża. Wystarczy powiedzieć, że idąc gęsiego tak się od siebie oddaliliśmy, iż mieliśmy wrażenie, że każdy z nas idzie samotnie. Dopiero na krzyżówce szlaków ponownie byliśmy razem. I właśnie wtedy we mgle dostrzegliśmy jakiś wielki ciemny obiekt. Gdy podeszliśmy bliżej przeczytaliśmy napis. Była to Lučni bouda. Faktycznie jest to wielkie schronisko. Byliśmy już tak zziębnięci, że nic nie mogło nas odwieść od wejścia do środka. W budynku od razu uderzyło nas ciepło jakie tam panowało. Mogliśmy rozebrać się nieco i gdy tylko zjawił się kelner zamówiliśmy coś smacznego. Aby było ciekawie praktycznie każdy dostał inną strawę. Nawet knedliki były różne. Oczywiście skosztowaliśmy serwowanego tu piwa ważonego w miejscowym browarze. Trzeba bowiem wiedzieć, że w schronisku tym działa mini browar. Warzone tu piwo Parohac można skosztować jako tradycyjne jasne, ciemne lub półciemne. Mało tego, można tutaj skorzystać z kąpeli piwnych czy wziąć udział w kursie warzenia tego trunku. My mieliśmy okazję zobaczyć aparaturę browaru i porozmawiać z panem Pawłem Błażem, który umożliwił nam wstęp do niego.

Same schronisko, funkcjonujące już od trzystu lat, słynie z pięknego widoku na Snieżkę. Niestety dzisiaj nie doświadczyliśmy tego. Ale kiedyś przebywający tu turyści byli budzeni o stosownej porze specjalnym dzwonem tak by zdążyli wstać przed wschodem słońca.

Zadowoleni z pobytu w schronisku wyszliśmy drugim wyjściem i wtedy okazało się, że temperatura spadła poniżej zera. Mieliśmy więc prawdziwą zimą. Muszę zdradzić, że wyszliśmy drugim wyjściem tak by obejrzeć znajdujący się tam słupek graniczny, na którym umieszczono nazwiska właścicieli okolicznych ziem.



Słupek graniczny przy schronisku Lučni bouda. Foto: Krzysztof Tęcza

Dla odmiany ruszyliśmy teraz szlakiem czerwonym w stronę szczytu Krakonoś. Widok jaki roztacza się stamtąd, można powiedzieć, zapiera dech w piersiach. I to mimo kiepskiej pogody. Przeganiane co chwile chmury i wychodzące słońce pozwalało nam na zachwycanie się Karkonoszami. Po drodze trafiliśmy jeszcze na stary bunkier. Obiektów takich zachowało się tu

więcej. Napotkaliśmy także kopczyki układane z kamieni. Ponoć czyni się to po to by w razie powodzi porywane kamienie wyhamowywały wodę i ograniczały jej niszczycielskie działanie. Nie wiem jednak czy jest to właściwe wytłumaczenie ich układania.



Kozie Grzbiety. Foto: Krzysztof Tęcza



Obora - miejsce dokarmiania leśnych zwierząt w okresie zimowym. Foto: Krzysztof Tęcza

Czeka nas teraz długie, bardzo strome zejście do Spindlerowego Młyna. Gdy tylko zeszlismy poniżej grani zaraz zrobiło się cieplej i zaczęło przyświecać słońeczko. Znowu okazało się, że wysoka góra skutecznie blokuje chmury i po obu jej stronach mogą być zupełnie inne warunki atmosferyczne. Nas oczywiście, taki obrót sprawy ucieszył, jednak droga stawała się coraz bardziej niebezpieczna. Nie dość, że pod nami widzimy przepaść to ułożone tu chodniczki z desek czy stalowe schodki są

niesamowicie śliskie. Trzeba iść naprawdę bardzo powoli, bo gdy zachwiejemy się to praktycznie nie będzie co zbierać. Oczywiście mamy świadomość, że brakuje nam czasu na dotarcie na autobus, jednak rozsądek bierze górę nad lekkomyślnością. Idziemy powolutku, co chwile robiąc zdjęcia. Widoki jakie są naszym udziałem całkowicie rekompensują nam wszystkie niedogodności. Wkrótce dochodzimy do dziwnego obejścia. Okazuje się, iż postawiony tu wysoki płot wykonany z drewnianych bali, na którym zawieszono wielkie koryta to tzw. Obora. Czesi wymyślili taki sprytny zabieg by zimą zwierzęta leśne nie schodziły do miasta w poszukiwaniu jedzenia. Gdy sypnie śniegiem po prostu zamyka się bramy a leśnicy dostarczają do tego miejsca jedzenie. Oczywiście robią to systematycznie. Nie ma zatem sytuacji, że zwierzęta przyzwyczajone do takiej formy dokarmiania, nie znajdą tam odpowiedniej dla siebie karmy. Proste a jak skuteczne.



Schronisko Odrodzenie i Špindlerova bouda. Foto: Krzysztof Tęcza



Spalone schronisko Petrova bouda. Foto: Krzysztof Tęcza

Po długim marszu docieramy wreszcie do miejscowości Špindlerův Mlýn. Niestety nie mamy czasu na zwiedzanie, jedynie rozglądamy się wokoło. Mijamy kościół św. Piotra. Przy jednym z domostw wystawiono ciekawą starą barć. Ale oto jest przystanek. Jesteśmy jednak zbyt późno. Autobus odjechał już dawno temu. Będzie jednak jeszcze jeden. Musimy tylko poczekać. Obok widzimy taksówkę, pytamy zatem czy zawiezie nas na górę w cenie biletów autobusowych. Kierowca odnawia, jednak po chwili sam podchodzi i proponuje kurs. Wsiadamy i jedziemy. Po kilkunastu minutach jesteśmy na Przełęczy Karkonoskiej. Jest już jednak tak późno, że wyraźnie czuć jak idzie ochłodzenie. Nie ma co tracić czasu, żegnam się z wszystkimi i ruszam w stronę Hutniczego Grzbietu. Reszta udaje się do Odrodzenia, gdzie pozostawili swój ekwipunek. Później zjedą oni na dół. Ja szybciotko docieram do Zawracalni i skręcam w nikłą ścieżkę, którą dochodzę do chatki AKT. Gdy ją ujrzałem wydało mi się tu jakoś dziwnie. Niesamowity spokój i cisza. Przecież mamy niedzielę, a więc powinno tu być sporo ludzi. Zdejmuję buty i zostawiam je na półce. Wchodzę do środka i od razu czuję specyficzny zapach. Jest ciepłutko. Wita mnie chatar i proponuje kubek gorącej herbaty. Są jeszcze dwie osoby i kot. Okazuje się, że wczoraj było tu spotkanie Towarzystwa Bażynowego. Teraz wiem dlaczego rano stało w Jagniątkowie tyle samochodów z obcą rejestracją. Chatka jest już posprzątana. Nie od dzisiaj wiadomo, że obecny opiekun chatki to maniak porządków. U niego musi wszystko błyszczeć i pachnieć. Widać nawet jakieś kwiatki. Znaczy to, że traktuje on to miejsce jak swój dom. I słusznie, bo obecnie jest to przecież jego dom. Ale dzięki takiemu podejściu wszyscy przychodzący tu turyści także czują wyjątkowość tego miejsca.

Patrząc w okno widzę jak zaczyna się zmierzchać. Nie ma co przedłużać mojego tu pobytu. Żegnam się i idę na dół. Udaje mi się dojść do leśnego duktu i wtedy nastają całkowite ciemności. Szukam latarki. Jestem już tak zmęczony, że muszę patrzeć pod nogi, by nie zdarzył się jakiś wypadek. Po chwili słyszę narastający szum. Dochodzę do mostku na Sopocie i już jestem na czarnym szlaku. Teraz pozostało mi już tylko spokojnie zejść na dół. Gdy tak sobie idę nagle dobiega do mnie z ciemnego lasu jakieś straszne ni to mruczenie ni to ryk. Po chwili sytuacja powtarza się. Aż mi włosy się zjeżyły. Nie wiem co to może być. Na wszelki wypadek przyśpieszam kroku by choć trochę oddalić się od tego miejsca.

Uf! Jestem już przy granicy Parku. Widzę światełka w leśniczówce. Są już pierwsze zabudowania Jagniątkowa. Udało się, wróciłem cały i zdrowy. Tylko niesamowicie zmęczony. Ważne jednak, że zaraz będę w domu. Jest godzina dziewiąta wieczór. Czyli moja dzisiejsza wycieczka trwała piętnaście godzin.

Krzysztof Tęcza